

Nr. 7.

Warszawa, 1 kwietnia 1914 r.

Rok II.

SKAUT

DWUTYGODNIK SPORTOWY ILLUSTROWANY
DLA MŁODZIEŻY POLSKIEJ

założony przez Bronisława Bouffała.

REDAKTOR I WYDAWCA LUDOMIŁ CZERNIEWSKI.

WYCHODZI 1 I 15 KAŻDEGO MIESIĄCA.

Zwracamy uwagę Szanownych Czytelników na zmianę adresu

Redakcyi i Administracyi:

Księgarnia J. Lisowskiej,

Al. Jerozolimskie 29, tel. 145-40.

Cena zeszytu 30 kop.



Szósty rok wydawnictwa. — Gazeta bezpartyjna.

„DZIEN”

Pod redakcją STEFANA GORSKIEGO.

„DZIEN” reprezentuje kierunek demokratyczny i stoi na gruncie wyraźnie narodowym. Broni rodzinę, ziemię, handel i przemysł polski. Zamieszcza artykuły i feljtony głośniejszych autorów polskich. Posiada pierwszorzędną obsługę informacyjną. Szerokie uwzględnienie interesów prowincyi, kresów i kolonii polskich. Liczne korespondencye z kraju i zagranicy.

Pragnąc upamiętnić pierwsze pięciolecie wydawnictwa „DZIEN” na rok 1914 ofiarowuje swym prenumeratorom cenne

5 PREMIUM CZĘŚCI ŚWIATA

ATLAS GEOGRAFICZNY „DNIA”

składający się z 21 pięknie na welinie w kolorach wykonanych map i tablicy, godeł handlowych i wojennych państw wszechświatowych.

Specjalnie dla „Dnia” wykonany Atlas zawiera nowe mapy Europy i półwyspu bałkańskiego, opracowane zgodnie z uchwałami pokojowymi w Konstantynopolu, Bukareszcie i Londynie. Jest to pierwszy polski Atlas z nowymi granicami państw, wykreślonymi po ostatnich wojnach bałkańskich.

Atlas, który bezpłatnie otrzymają wszyscy prenumeratorzy „DNIA” przedstawia wartość kilku rubli.

Prenumeratory, opłacający „DZIEN” z góry na rok 1914 otrzymają Atlas natychmiast przy wnieśieniu przedpłaty. Prenumeratory kwartalni i półroczni otrzymają bezpłatnie Atlas Europy przy uiszczeniu ostatniej raty prenumerycznej w roku 1914.

Prenumeratory opłacający i odbierający Atlas w Administracji „DNIA” żadnych dodatkowych kosztów nie ponoszą.

Prenumeratory pragnący Atlas otrzymać pocztą na koszty przesyłki i opakowania dołączają 50 kop. Kto chce otrzymać Atlas pięknie oprawny w płótno angielskie dopłaca 1 rb.

Adres wydawnictwa: WARSZAWA, WARECKA Nr. 15.

WARUNKI PRENUMERATY. W Warszawie: Rocznie rb. 6,60, półrocznie rb. 3,30, kwartalnie rb. 1,65, miesięcznie kop. 55. Za odosłanie do domu kop. 5 miesięcznej.

Na prowincyi i w Cesarstwie: Rocznie rb. 9, półrocznie rb. 4,50, kwartalnie rb. 2,25, miesięcznie k. 75.

Zagranicą: Rocznie rb. 14, półrocznie rb. 7, kwartalnie rb. 3,50, miesięcznie rb. 1,20.

Nr. 7.

Warszawa, 1 kwietnia 1914 r.

Rok II.



założony przez Bronisława Bouffała.

REDAKTOR I WYDAWCA LUDOMIL CZERNIEWSKI.

WYCHODZI 1 I 15 KAŻDEGO MIESIĄCA.

WIOSNA.

Budzi się energia życiowa przyrody ojczyznej, tętno jej pracy wewnętrznej wzmagają się. Nadeszła pora bardziej radosna niż inne i bardziej świąteczna, ale radosna i świąteczna nie na próżno spoczywanie, nie na rzekomą rozkosz bezczynności leniwego używania, a na wzmożoną energię pracy.

Taką Bóg nakreślił drogę rozwoju, że największa radość, słoneczne piękno i szczęście budzi się z chwilą wzmożonej pracy życia. Przyroda nasza budzi się do nowego wzrostu, do nowej działalności twórczej. Wyzbywa się sennego zimowego zastoju, sięga w głąb swo-

ją po skryte w niej pierwsiastki energii, rozpręża się pod jej parciem i wartkim prądem wzmagające się zasoby tej energii pędzi przez wszystkie okręgi istoty swojej. Pod siłą promieni słonecznych wznosi się i wzrasta, porywa się ku błękitom do słońca z wielką pieśnią wyteżonego twórczego życia.

Kiedy pod tą siłą słoneczną i ciepłą, ożywczeń tchnieniem pochwila wzmożonej pracy życia. Przyroda nasza budzi się w kwiecie, pomkną w górę żdźbła zbożowe, ażeby później w pękach swoich złotych kiści wydać plon owocny, rodzimy plon od-



żywczy, my stajemy w nowym stosunku, w stosunku odmiennym do tej naszej ojczystej przyrody, bieżym w coraz bliższe współzycie z nią, w coraz to większe i głębsze i serdeczniejsze zespolenie z kwieciami i owocem ziemi rodzinnej, z całokształtem jej tętniącego życia.

Nowy okres nadchodzi calorocznej naszej pracy, naszego życia. Dobrze więc jest pomyśleć jakie najważniejsze zadania nas czekają z nastąpieniem okresu wiosennego.

Bliższe współzycie z przyrodą rodzinną to znaczy, częstsze wy-cieczki, bezpośrednie zetknięcie się z jej życiem, nie uśpionem pod warstwą śniegu i szronu jak zimą, ale żywą, tętniącą pełnią sił rozwijającą się i szybko wzrastającą. Teraz więc nadchodzi okres bliższych naszych obowiązków względem tej rodzinnej przyrody, której przyjacielem jest skaut, zapoznawanie się z nią, obserwowanie jej, wniknięcie w jej tajniki, w tajniki każdego źdźbła trawy, każdego drzewa, owadu, pierzastej rzeszy i zwierząt żywiących się na rodzinnej ziemi, a z poznaniem tego życia ochrona jego i przywiązanie do niego. Młodzieniec staje się teraz bardziej niż kiedykolwiek przyrodnikiem, ale nie suchym książkowym przyrodnikiem, ale żywym, współczującym z życiem rodzimej przyrody i chwytającym go na gorącym uczynku w najżywszych jego objawach. Teraz nadchodzi najlepszy czas polowań, które zaleca nam Baden-Powell, polowań z aparatem fotograficznym w rękę.

Obok tego zaś wnikania w naj-

drobniejsze, w najbardziej ukryte tajniki przyrody naszej w jej stanie nietkniętym ręką ludzką, dobrze jest samemu wziąć udział w jej rozwoju pielęgnować ją i hodować. W Anglii wśród chłopców skautów bardzo już jest rozwinięte tak zalecone przez Baden-Powella hodowanie roślin, pszczoł i t. p. Niestety u nas jeszcze młodzież stosunkowo słabo się tem zajmuje, przeważnie dość sobie lekceważąc te rzeczy. A tymczasem jest to jedno z najlepszych laboratoriów do poznawania życia tej naszej przyrody, jedna z najlepszych szkół do ćwiczenia się w cnotach skautowych, uwagi, cierpliwości, wytrwałości, spostrzegawczości i t. p. Idźmy więc z wiosną nie tylko do chwilowego, ale i do stałego współzycia i współdziałania z przyrodą, którą Bóg nasz kraj udarował.

Współzycie zaś to i wnikanie wprowadza zarazem nas w szersze kręgi zapoznawania się, z całym terenem życia tej naszej przyrody z całym krajem ojczystym. Z wiosną też nadchodzi okres żywszej pracy dla siebie i bliskich w krajoznawstwie, w zwiedzaniu wszystkich drogich nam zakątków ziemi ojczystej. Choćby jedno, parę miejsc poznanych w ciągu lata, już dorzuca częstokę wiedzy o kraju jeden rys z drogiego oblicza naszej Ojczyzny, rys uchwycony, utrwalony w sercu i pamięci, znamię żywe. Z biegiem czasu z takich rysów zbuduje się w pamięci naszej i w sercach naszych cała jej przepiękna postać.

Z wiosną wzmaga się życie, pełne pracy, bardziej radosne i bardziej czynne.



Ślady nart w śniegu.

Skok na nartach.

Koroną narciarstwa, ostatnim celem, do którego dąży każdy narciarz, jest skok. Trudno opisać uczucia, których doznaje się wtedy i upojenie ogarniające człowieka. W polemy podjeździe przelatywać ponad ziemią, być oderwanym od niej, to jakby rozdział duszy z ciałem; dusza wznosi się w nadziemskie sfery, a kiedy znowu dotykamy ziemi, czujemy żal, że to nie trwało dłużej.

Koniecznym do skoku warunkiem jest wielka wprawa i zupełna pewność skoku: narciarz przecina wtedy powietrze z szybkością strzały, w przelocie tylko widzi swoje otoczenie i czuje się dumny, że na wzór ptaka buja w przestworzach.

Dalekie skoki na nartach pociągają za sobą wielkie napięcie nerwów—oprócz fizycznego zmęczenia—skutkiem tego najwytrawniejsi narciarze nie ryzykują więcej, nad trzy skoki dziennie. Nikt bez gorączki nie rozpoczyna biegu, który ma się zakończyć skokiem na 20 lub 25 metrów; każdemu wtedy serce bije, nie z trwogi, lecz w poczuciu czegoś wielkiego, stopniowo jednak człowiek się uspokaja, odurza szybkim biegiem i jak ptak zrywa do lotu.

Dla narciarzy, pragnących skakać, niezbędne są wiadomości następujące:

Przedewszystkiem początkujący

narciarz-skoczek musi być wprawny w zwyczajnej jeździe na nartach, conajmniej musi umieć zjeżdżać spokojnie bez pomocy kija i zatrzymywać się przez zwrot w pra-



Skoczek w rozpędzie.

wo lub w lewo. Dlatego też nauka skoków powinna mieścić się tylko w kursie dla zaawansowanych narciarzy.

O ile pochyłość terenu, po któ-



Przed skokiem.

rym zjeżdżamy, staje się nagle bardziej stromą, czujemy, że siła pędu dąży do unoszenia nas w dalszym ciągu po takiej samej pochyłości,

po jakiej jechaliśmy, co pociąga za sobą ten skutek, że przez krótką chwilę znajdujemy się ponad śniegiem, czyli, że siła pędu wyrzuca nas w powietrze. Jeżeli w takim

miejscu siłę pędu poprzemy podskokiem, robimy formalny skok. Przez zbudowanie w tem miejscu wału o powierzchni poziomej, łączą-

cego się z jednej strony z pochyłym terenem, z drugiej, od strony spadku, ściętego pionowo, otrzymamy „odskocznice”.

Do nauki skoków i do treningu polecamy skoki na terenie bez odskoczni. Skoki te mają nawet wartość praktyczną, możemy bowiem przy ich pomocy przezwyciężyć niejedną drobną przeszkodę.

Jadąc niezbyt szybko po łagodnym spadku, przysiadamy i podskakujemy, wyrzucając ręce do przodu i podciągając kolana do ciała. Skok już jest wykonany.

Oczywiście pierwsze skoki będą

poziomy wał ze śniegu wysokości m. w. pół metra. Pochyłość spadku u podstawy wału powinna wynosić 20 do 30 stopni i po kilku metrach przechodzić stopniowo w płaszczyznę. Ubijamy następnie nartami śnieg na wale i pod wałem. Zjeżdżając, przysiadamy i w chwili, kiedy przody nart znajdują się przy końcu wału, podskakujemy, nie podciągając kolan do ciała. Ta ostatnia pozycja konieczna jest przy sko-



Skok.

bardzo niewielkie, coś około pół metra szerokości; przy wprawie, w odpowiednich warunkach terenu i większej szybkości możemy osiągnąć skoki ponad pół metra wysokości i 4 szerokości.

Dopiero po osiągnięciu wprawy w skokach na terenie, możemy przystąpić do nauki skoków z odskoczni.

Odskocznice budujemy w sposób następujący: obieramy miejsce, gdzie pochyłość terenu zwiększa się silnie, tworząc jakby stopień i budujemy

kich na terenie, zbyt duża jednak przy skokach z odskoczni. Przy podskoku robimy powolny ruch rękami od przodu do tyłu, nigdy zaś odwrotnie. Przy tym ruchu rąk łatwiej zachować pozycję właściwą t. j. ciało wyprostowane, pierś podana naprzód, głowa wzniesiona do góry. Narty powinny być stopniowo doprowadzone do pochylenia równoległego z kątem terenu, na który zeskakujemy. Aby nie upaść przy zeskoku, pochylamy się silnie

naprzód, rozkładamy ręce i kończymy t. zw. „telemarkiem”.

Przy pierwszym skoku możemy się prawie napewno spodziewać upadku w tył, ponieważ początkujący nie pochylają się dostatecznie naprzód przy zeskoku. Nie należy jednak zniechęcać się pierwszym upadkiem, cierpliwością i częstą praktyką można osiągnąć rezultaty bardzo dodatnie.



Na Wiśle.

Kiedy wiosenne wody wydyma metną falą szerokie łono Wisły, kończy się panowanie zimowych wiatrów i od Bałtyckiego morza pociąga „zachodniak Kujawa”. Wisła rozlewa się szeroko po mieliznach i wisłiskach, a na jej potężnym grzbiecie widnieje odznaka przyboru—żółta piana. Powstaje ona w górskim kraju źródeł Wisły na szumiących po kamieniach potokach i z szybkością 8 stóp na sekundę, biegnie w dół zwiastować przybór, który przybywa pod Warszawę po 5 dniach od Zawichosta.

Kiedy piana znika, przybór powoli opada. Żółty kolor wody robi się jaśniejszy, wolniejszy ped osadza na głębinach warstwy gliny, Wisła wraca do swego koryta.

Ale przybór nienytko te powierzchowne zmiany poczynił. Przeciw-

Na zakończenie dodać należy jedno: skoki nie są konieczne po trzeba dla narciarza. Do tego należy mieć specjalne warunki przyrodzone raczej, niż nabyte. Kto te właśnie warunki posiada, dojdzie bez wielkich wysiłków do znakomych rezultatów.

M. K.

nie, zmienił on dno koryta, poprzerywał mielizny, pozasywał przepastne głębiny, dochodzące do 10 łokci, poprzesuwał ławice piaszkowe i zdradne „przykosy”, potworzył wyspy, powrócił do dawno porzuconych odnóg i stworzył nowy tor na cały rok następny.

Tymczasem płytko budowane parowce, kłapiąc kołami, jadą wprost środkiem wody, bo wszędzie im dość głęboko, ale „wytyczni” już wyszukują głębiej „wartówki” i wybierają miejsca, gdzie stawiąc będą czerwone i białe kosze, a w nich tytche kolorów latarki.

Czerwone sygnały mija się od warszawskiej, białe od praskiej strony, ale mimo to sternik musi sam dobrze poznać swój szlak i rozróżnić po łamaniu się fal, gdzie jakiej spodziewać się głębokości, zwsz-

cza w górę od Warszawy, gdzie chodzą tylko małe parowce.

Powoli opuszczają się ciężko ladowne berlinki. Tymczasowo idą one wyłącznie w dół Wisły, naprzód sternem, który tak należy ustawić, aby prąd choć prostokierunkowy, sam pchał je do boku i zastępował sternika.

Na płycizny rzucili się całą gromadą piaskarze, zarzucając kotwice, czyli jak je sami nazywają „koty” lub „kotwy” na głębokości półtora metrowej i „kosiorami” dobywają piasek. Z mielizn stojących ponad wodą nie biorą go wcale, po pierwsze dlatego, że jest brudny, przerosnięty gliną, a po drugie naladowała łódź nie mogła by odplynąć osiadłszy na piasku.

Praca piaskarza to wprost męczarnia. Musi on kilka razy obrócić swoim „batem” (długa i szeroka łódź) w ciągu jednego dnia pracy, który zaczyna się o 4-tej rano, a kończy się o 8 wieczorem.

Już lepiej mają żwirarze. Dowiedziawszy się, gdzie w tym roku żwir wysypał w większej ilości, „naladują baty” i nieradko z żaglelem jadą w górę czasem aż za Świder i dalej. Zatrzymawszy się, pracują dzień lub dwa, poczem z batem, pełnym aż po brzegi, płyną spokojnie w dół rzeki, upatrując tylko niebezpiecznych parowców. Niebezpiecznych dlatego, że nawet przy niewielkiem falowaniu swawolne fale przeskakują z łatwością przez tuż nad wodą sterzącą burte.

Piaskarz w dodatku musi się ciągle „spychać” długimi na 4 m. wiosłami, żwirarz w najgorszym razie obsadza w „knagę” drewniane

„dulki” i „ruma” wiosłami bez zbytek jedno pośpiechu.

Zwyczajna „łodyga” z ostrym przodem albo jednakowe z obu końców czółno, wreszcie zupełnie czworokątna płytka „krakuska” jadą „na rum” chyba tylko z biegiem rzeki; w górę oplaca się tylko „na spych” zwłaszcza przy brzegu. Trzeba na to sztuki i wprawy, aby umieć jeździć jednym wiosłem, trzeba wiedzieć, gdzie stanąć, jak po każdym zagarnięciu się „wyprzeć”, jak brać skosny prąd rzeki i t. d. Jeszcze większej wprawy wymaga jazda na spych na dwa wiosła, które muszą być wtedy z jednej strony łodzi.

Jazda z żaglelem wymaga znajomości łodzi, Wisły i wiatru.

Łódź pod żagiel (mówię o deskowych) powinna być „szywna”, to jest niewiele szersza w burcie jak we dnie, „leb” mieć wysoki, bo nieraz wyrwa się w wielkie bałwany, które powstają na najwyższych głębinach i wtedy woda leje się przez wierzch; sztabłok, jak niestety z niemiecka nazywają ławkę z dziurą na maszt, musi być bliżej przodu, z mocnego drzewa przymocowany nienytko do burt, ale i do dębowych wręg. Maszt musi być osadzony nieruchomo żeby się nie rozbił; za ster wystarczy zwykłe proste wiosło z „omerkiem” (rekojescią), które należy trzymać za łaskę, ale blisko pióra.

Jechać pod żaglelem pojedynczo jest niewygodnie, a nieraz niemożliwe, zwłaszcza przy silnym wietrze, dmącym „dychtownie” pod prąd, bo wtedy żagiel często się przrzuca. Kiedy spozrzęgamy, że dolny koniec się zwija, trzeba lekko pościuć „bary” (sznur łączący dwa

wolne końce żagla), potem szarpnąć gwałtownie i znów popuścić jaknajwięcej, ale na drugą stronę. Sterujący przerzuca jednocześnie wiosło, które zawsze musi być z tejże strony co i płachta żagla.

Równy, choćby silny wicher nie stanowi niebezpieczeństwa. Dopiero kiedy przyjdzie północno-zachodnia „szaruga”, dmąca gwałtownymi nierównymi porywami, z wściekłą nieraz siłą, i cała Wisła staje się granatowa, wtedy strzeż się stanąć bokiem do wiatru, a ruszając w drogę, nisko upinaj „sztangę” (reja skośna) albo i wcale jej nie zakładaj, a w nagłym razie puszczaj bary zupełnie „na furch”.

Niemasz zato rozkoszy jak z drugim dobrym żeglarzem siedzieć na tyle żaglowej łodzi, gdy wicher aż skowyczy na bloczku i chorągiewce, obrzucając nas taką masą bryzgów, że nie można odróżnić granicy wody i powietrza, i mkną w szalonych podskokach z jednego wściekle zapienionego bałwanu na drugi. Ciężkie uderzenia wałą w łódź od spodu, aż podskakuje maszt cały, a zapieniona fala wściekle wrzyna się przez klamburt; łódź chwije się we wszystkich kierunkach; ryk fal tłumi wszelką próbę porozumiewania się głosem. Wtenczas już nie utrzymasz barów jeżeli nie okrecisz ich o ramię albo o hak, czego zaś nie rób, nie umiając pływać, kiedy wiatr rzuca pianą w twarz, aż bołą oczy i pryska wodą do nosa.

Cudowne jakby unikanie wściekłości żywiołu rozpiera piersi poczuciem lekkości i swobody, a dopiero kiedy staniesz na brzegu, to uczujesz, że chwijają się pod tobą

nogi ze znużenia, wysiłku uwagi i energii.

Zupełnie co innego jechać o żaglu w ciężkiej wlokącej się powoli berlinie. Podnosi się olbrzymią ciężką płachtę żagla, która się nadmie poważnie i powoli, i jakby zastygnie w bezruchu, ale dotknij tylko liny napiętej i drżącej jak struna, a poznasz z jaką siłą ciągnie nas żagiel. Sternik leniwie wsparty całym ciałem na długim kijku steru, porusza się od niechcenia. Reszta poszła spać do budy na tyle; widać tylko psa, który śpi, leżąc na pokładzie. Słodkie „far niente” ogarnia całą załogę. Ale dojeżdżamy do mostu. Wylażą zaspane chłopcy i gapią się w górę, czekając aż maszt zbliży się do mostu na kilka metrów.

Wtedy rzucają się na puszczony z lin żagiel i obciągają go do dołu. Żagiel szamocze się i rzuca nimi, ale w końcu pokonany leży bezładną kupą. Wtedy zarzuca się kotwicę, rozstawia krokiew, układa maszt. Jeden z załogi siada do retmanki (specjalna łódź przy berlinkach), bierze zapasową kotwicę i kilkadziesiąt metrów drucianki i jedzie w górę. Tam już za mostem zapuszcza kotwicę i wraca. Druciankę zaczepiają na wał i krepcąc korbą, posuwają się powoli na przód: „ściągają się po kocie”.

Za mostem znów stawiają maszt, podnoszą żagiel i wyciągają kotwicę i jadą do następnego mostu.

Ostatni wreszcie sposób wędrowki po Wiśle to na tratwie. Tratwa niezależnie od długości ma z przodu i z tyłu dwa osobne ogniwa służące do sterowania t. zw. „szrekutnie”. Są one zaopatrzone w kilka olbrzymich, wyciosanych z całej sos-

ny wiosel—szreków. Szreki są u-mocowane na podstawach tak, że ich rączki są na wysokości piersi i wszystkie ida równolegle do boków tratwy. Oprócz tego na szrekutni leżą zaostrome koty, które stawiane na sztorc w odpowiednie dziury zahaczają o piasek i zatrzymują tratwę. Ponadto tratwa ma żalazny sygnał biało-czerwony lub latarnię.

Tratwy prowadzi doświadczony kierownik, który jednak pod Warszawą ustępuje swego miejsca zawodowemu retmanowi. Tu dopiero odchodzi robota i komenda. Fli-sy pracują usilnie, kiwając się w takt całym ciałem; słychać długie cha-

rakterystyczne krzyki: „Głoo-waa na woodeee...” albo „poo luundziee...”

Wpadnięcie na filar albo na mieliznę grozi rozbieraniem i ponownym budowaniem tratwy, flisy więc jadą ostrożnie, wystrzegając się złej pogody i stają zaraz z wieczora.

W blasku zachodzącego słońca Wisła mieni się tysiącem świetlnych barw, nadciąga chłodna noc wiślana. Ognisko potęguje wrażenie ciemności i spokoju, zdaleka, dolatuje przeciągły melodyjny głos flisackiej pieśni, mokre paliwo sy-czy, a potem cisza taka bajeczna i cudna, że nie usnąłbyś, gdyby nie zmęczenie, które niepokonalnie przykuwa cię do ziemi. P—k.



Wskazówki dla Skautów.

XII.

Dbałość o konia i ludzi.

Wysłany na zwiady, możesz nie raz być kilka dni i nocy oddalony od głównej kwatery, sam albo z towarzyszem, trzeba więc, żebyś miał dbać o siebie, o towarzysza i o konia, wiedzieć, co powinienesz czynić, gdyby jeden z nich zachorował lub został raniony.

Dbałość o siebie. Pamiętaj, żebyś nigdy nie wyruszał z obozu — choćbyś był wysłany na godzinę — bez zapasów żywności. Nigdy nie wiadomo, jak długo potrwa twoja nieobecność.

Jeżeli masz spełnić sumienie swoje obowiązkiem, musisz być zdrowy, powinienesz więc w czasie pokoju dbać o swoje zdrowie, a podczas służby odżywiać się dobrze, ubierać ciepło i baczyc, jaką wodę pijesz.

Kto podczas pokoju pędzi życie wygodne i zniewiesiałe, nie umie rozniecić ognia, ani ugotować strawy, w obozie będzie w ciężkich opalach. Pamiętajam przerażoną minę rekruta, któremu dano żywego barana i pełną czapkę maki, jako pożywienie na cztery dni. „Co ja z tem pocnę?” — wypisane było na jego twarzy. Skaut, gdyby to dostał, uważałby, że jest doskonale zaopatrzony.

Jadąc na zwiady, nie możesz zabierać z sobą wiele rzeczy, nie zapomnij jednak o zapasowej flanelowej koszuli; w razie przemoknięcia będziesz mógł natychmiast zmienić bieliznę; w razie zimna, możesz włożyć jedną na drugą.

W gorącym klimacie najlepiej mieć w manierce zimną herbatę, pokrzepi cię to więcej, niż woda, a przytem zabezpiecza od różnych chorób, których możesz się nabawić, pijąc wodę niezbyt czystą.

Śpij, ile razy trafi ci się sposobność, gdyż ciągle wyteżenie uwagi w służbie wywiadowczej, bardzo wyczerpuje organizm. Uważaj tylko, żeby cię nie schwytało podczas drzemki. Można przyzwyczaić się do tego, że człowiek budzi się o tej godzinie, o której chce i słyzy podczas snu każdy szelest. Co do mnie, dziesięć minut drzemki pokrzepia mię tak, jak kilka godzin snu.

Rewolweru nigdy nie kładź pod głowę, albo pod poduszkę, gdyż złoźniej tam sięgnie najpierwej, umieść go pod kolanami, żebyś w każdej chwili miał go pod ręką. Trzeba go nosić na długiej tasemce. Możesz rozsznurować podczas snu obuwie, ale nie zdejmuj go, chyba, że włożysz trzewiki.

Jeżeli rozpaliles ognisko dla ugotowania wiecezry, nie kładź się

przy niem, lecz poszukaj dalszego miejsca, gdyż nieprzyjaciel zwabiony ogniem, tam właśnie będzie cię szukał. Jeżeli patrol składa się z kilku ludzi, każdy żołnierz powinien spać osobno, ażeby w razie napaści, nieprzyjaciel nie zagarnął wszystkich odrazu.

Każdy skaut wysłany na zwiady powinien być zaopatrzony w gwizdawkę, megafon zarówno do słuchania, jak do mówienia, w latarkę elektryczną i toporek, za pomocą którego wedrze się łatwo na drzewo, lub na słup telegraficzny.

Dbałość o konia. Oszczędzaj swego wierzchowca, ile tylko możesz i nie trudź go nad potrzeby; przy każdej sposobności staraj się napić go i nakarmić. Mało i często jest lepiej, niż wiele i rzadko. Pamiętaj, że koń zostawiony sobie, będzie się paśł przez 22 godziny na dobe, pozwól mu więc skubać trawę przy każdej sposobności i jeżeli jest spragniony, dawaj mu pić po trochu, gdyż koń nie może przedzić natychmiast po wypiciu wielkiej ilości wody. Najlepiej napić go przed jęzieniem. Jeżeli jesteś wysłany na zwiady w dalszą okolicę, zabierz z sobą kilka kłanascie funtów owsa i dawaj swemu wierzchowcowi po funcie co godzinę.

Jeżeli koń ma nogi nabrzmiałe lub zmęczone od dłuższej jazdy, trzeba owinąć je bandażami zmazanymi w zimnej wodzie, to natychmiast przyniesie mu ulgę. Jeżeli zakuleje, a nie jesteś pewny, na którą nogę, przeprowadź go i uważaj na jego łeb: będzie nim wyruczał za każdym stąpieniem na chorą nogę.

Odpalenie pochodzi zawsze z

winy i niedbalstwa jeźdźca: jeżeli siodło będzie dopasowane do grzbietu konia, to się nigdy nie zdarzy. Zwykle w pośpiechu, albo po ciemku, jeździec nakłada siodło zanadto ku przodowi, zamiast umieścić je na środku grzbietu, a wtedy popręg ścięra skórę. W dodatku przednie nogi wierzchowca są zanadto obciążone i forsują się, a on sam wcześniej się męczy. Do jazdy wierzchem na dłuższą przestrzeń trzeba wybierać konia, który nosi łeb wysoko i posiada silne zadnie nogi. Spuszczanie łba także wywiera szkodliwy wpływ na przednie nogi. Bacz przy siodłaniu, żeby siodło było umieszczone właściwie i na każdym popasie przekonaj się, czy nic nie uweria konia. Pot przyznaj się także do odparzenia, ile razy więc zsiadasz, rozluźnij koniowi popregi i podnieś siodło, żeby prąd powietrza osuszył jego grzbiet; zdjąwszy siodło, przez dwie minuty uderzaj grzbiet rekoma dla przywrócenia prawidłowego obiegu krwi.

Zmęczonemu koniowi pozwól wytarzać się w wodzie, błocie, lub piasku; działa to na niego tak o-rzeźwiająco, jak na ciebie kąpiel. Tarzanie się po piasku osusza sponoconą jego skórę, jeżeli więc nie ma ochoty do tego, możesz go zachęcić, obspytując mu grzbiet piaskiem.

Musisz się nauczyć przymocowania luźnej podkowy i podkucia konia, jeżeli zgubi podkowę.

Gdyby kamyk dostał się między kopyto, trzeba spróbować, czy nie uda się go wydobyć, uderzając innym kamieniem z przodu w kopyto.

Dobrze jest podczas pokoju nauczyć konia, żeby stał spokojnie, należy w tym celu przywiązać linkę

do wędzidła, tak długą, żeby sięgała ziemi i przyczepić do niej jakiś stary worek, lub koldre; tym sposobem koń za każdym poruszeniem pociągałby za wędzidło.

Dbałość o towarzysza. Wielka to zasługa sprowadzić do obozu rannego lub zemdlonego towarzysza i udzielić mu pierwszej pomocy, zanim lekarz może go opatrzyć. Dla zatamowania krwotoku trzeba położyć na ranę chustkę złożoną w kilkoro i owiązać mocno. Skoro krew przestanie płynąć, można nieco rozluźnić bandaż, żeby nie tamować swobodnego obiegu krwi. Dla wzmocnienia trzeba napoić rannego kawą, wódką, lub rosółem. Ropę trzeba często obmywać.

Jeżeli jakiś członek jest złamany, składa go się, owija czemś miękkim i przywiązuje do gałęzi, pochwy od pałasza, lub karabinu, żeby nie mógł się zgiąć. Środki wzmacniające, jak powyżej.

Uderzenie słoneczne. Rozluźnia się szelki, pas, krawat i oblewa wodą piersi, głowę i ramiona. Trzeba unieść głowę, ale nie dawać wódki, ani kawy.

Krawawa biegunka. Utluc kawałek węgla drzewnego, albo spalonego chleba i dawać kilka razy dziennie po pół łyżeczki w filiżance kawy.

Podnieś zemdlonego. Kładzie go się na twarz, klęka przed nim, podnosi jego głowę i piersi na wysokość swoich pleców, zakłada pod niego ręce i zarzuca na ramiona. Wtedy można samemu się podnieść i mieć jedną rękę wolną dla użycia broni.

Przewieź zemdlonego na koniu. Trzeba mieć do tego dwie linki i

położyćszy zemdlonego twarzą na ziemi z rękoma rozkrzyżowanymi, przewiązać go linką poniżej ramion, a potem tą samą związać mu wyciągnięte naprzód ręce, zostawiając koniec wolny. Następnie drugą linką obwiązać go w pasie i związać mu nogi w kostkach, zostawiając także koniec wolny. Skrzyżuj strzemię ponad siodłem i połóż zemdlonego na koniu w ten sposób, żeby leżał twarzą na dół, głowę zaś miał zwróconą do ogona końskiego, przeciągnij koniec od linki obwiązującej ręce pod brzuchem konia i przymocuj go do przeciwnego strzemięcia; tak samo przeciągnij koniec od linki obwiązującej nogi pod brzuchem konia i przywiąż go do drugiego strzemięcia. Człowiek przywiązany w ten sposób nie spadnie, choćby koń pędził cwałem.

Podczas wojny z Matabelami w r. 1896, dwóch skautów wysłanych na zwiady było w niebezpieczeństwie, że zostaną odcięci od głównej kwatery. Jeden z nich otrzymał ciężką ranę. Towarzysz przywiązał go w ten sposób do konia, przez dwie noce i dzień wymykał się nieprzycielowi i wreszcie dobił się wraz z rannym do Buluwayo. Biedny ranny umarł w szpitalu, ale towarzysza jego otrzymał za swój szlachetny uczynek krzyż Wiktorii.

Ćwiczenia podczas pokoju.

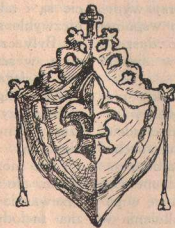
Naucz się rąbać drwa, rozpalać ogień, rozbiierać mięso, gotować różne proste potrawy, piec chleb i podpłomyki i t. p., dopóki nie dojdiesz do takiej wprawy, że będzie ci to

przychodziło z łatwością, a potrawy przyrządzone własnoręcznie, będą jadalne i nawet smaczne. Używaj do gotowania takich tylko naczyń, które będziesz miał w obozie.

W kuźni naucz się kuć konie, przy-

mocowywać odpadające podkowy i t. d. Odbywaj dalsze patrole konno, sam lub z towarzyszem. Wprawiaj się w podnoszenie i przewożenie zemdlonych.

Generał Baden-Powell.



Prosimy odnowić prenumeratę na kwartał II-gi.

Niech pieśnią rozlega się echo.

Ma dola polska towarzyszkę serdeczną—pieśń.

Powinna ona nieodłącznie towarzyszyć skautom w każdym przejawie ich życia, czy to w obozie, czy w polu, w marszu czy przy wypoczynku, przy ognisku lub wspólnej pracy, powinna ona kozić duszę, i nieść wesołość i życie w szeregi skautowe.

Te nasze kochane polskie piosenki, improwizowane gdzieś w zamierzchłej przeszłości, w pochodzie, lub układane przy ognisku, rozchodziły się po oddziałach, albo przepadały. Dziś połowa tych melodii poginęła, część zachowała się w pamięci i przechodziła z pokolenia w pokolenie, część została uwieczniona w pamiętnikach, wreszcie niezliczna ilość została powszechnie uznana, i częściej śpiewana, przeważnie były to pieśni łatwiej wrzające się w pamięć. Jednakże i ten dobytek pieśni, który nam pozostał, jest dość spory i bogaty w treść i formę.

Cóż dziwnego, sto lat przeszło składało się na to, sto lat obfitych przeważnie w ciężkie cioty, a tak mało w chwili radośnie.

To też mamy w naszych pieśniach i nutę pełną smutku, co z bólu powstała, mamy i odczucie krakowiaki i mazurki, powstałe w chwilach tryumfu i radości.

Jest i taka pieśń, która serce ścisła i przejmując dziwnym wzruszeniem, ale mocno i rozgłównie każe nam wierzyć w naszą lepszą dola, że przyszłość jest przed nami. Wreszcie są i takie, w których przebijają niezwykle silna nuta religijna.

Były czasy, kiedy ekstaza religijna, w ścisłym związku z narodową, dosięgała szczytu, to też ta żarliwość religijna, wyrwana gdzieś z głębi duszy, rwie w pieśniach ówczesnym nurtem bodaj najgwałtowniejszym.

Nie możemy narzekać na brak pieśni, ale czy umiemy je śpiewać? Przeważnie nie. Większość z nas zna melodie, niestety nie pamięta słów. A szkoda.

Czyście nie uważali jak nam brakuje tego śpiewu, czy to gdy idziemy w kilku lub kilkunastu na wycieczkę, czy to jedziemy koleją, czy gdy po zachodzie słońca rozniecimy ognisko, przeniesiemy się myślą hen w odległe czasy, przypomnimy sobie jakto nasi mężni rycerze schodzili się do ognia posłuchać ciekawych opowiadań którego ze starych wiarusów, a potem pośpiewać, o dawnych zwycięstwach.

A w pochodzie czyście zauważyli, jak kojąco działa pieśń na nasze ośrodki nerwowe, jak różnie stawiamy nogi, nie odczuwając zmęczenia, i jak nam droga wydaje się

krótszą. Biermy przykład z Czechów, albo naszych braci wielkopolan, jak oni odczuwają potrzebę śpiewu, i jak też chętnie darzą nim wszystkich.

Pamiętam dobrze, kiedyśmy byli w Pradze większa gromadką, i gdy nam Czeši zaśpiewali swoje piosenki, a później byli chciwi usłyszeć nasz śpiew, muszę przyznać się że wstydem, żeśmy nie mogli zadość uczynić ich prośbie, bo każdy umiał co innego, a było sporo i takich, którzy umieli tylko gwizdać walczyki z operetek. Tak! Bo my w chwilach wesołości nie zaśpiewamy jakiego krakowiaka od ucha, lub dziarskiego mazura, lecz modnego walczyka z najnowszej operetki.

leż to razy zdarzało mi się słyszeć, jak rozbawione po majówce towarzystwo, wsiadło do kolejki i zamierzało przekrzyknąć turkot kolejki swoim śpiewem. I cóż, po przepiewaniu „choć burza huczy” albo „hej koleczy” (mówiąc nawiasem obie pieśni wcale nie polskich kompozytorów) milkli, bo już więcej nie umieli, myślecie, że był to śpiew, nie—rzczenie.

Skauci więc przedewszystkiem powinni wydostać z pyłu zapomnie-

nia dawne piosenki, lub układać nowe, jeśli kto ma po temu zdolności, a następnie starać się nie tylko samym umieć je zaśpiewać, ale i innych nauczyć, pamiętając, że tem wypełniają w części obowiązek względem 2-go punktu prawa skautowego. Śpiewajmy więc zawsze i wszędzie, gdy tylko mamy po temu ochotę, pamiętając, że tem wnosimy naszą wesołość pomiędzy ludzi, którym tego brak, rozniecajmy zamilowanie do śpiewów w szerszych warstwach, a nadejdzie chwila, gdy dzięki skautom, naród przypomni sobie dawne śpiewki i nie wyrugują ich z pod strzechy polskiej żadne gramofonowe aryty, kuplety i walczyki, które tak nic nie mają w sobie polskiego.

Do pieśni więc, do polskiej. Niech każdy skaut notuje skrzętnie piosenkę rodzimą, niech stara się przyswajać sobie dawne i znane, a wtedy napewno nie zawstydzimy się przed innymi, że nie umiemy śpiewać.

Leć o pieśni leć sokołem,
Tobie czołem—ziemi czołem!

H. S.



Amerykańska zemsta.

(Dokończenie).

— Odwagi Mariuszu! — rzekłem sam do siebie — jak długo będziesz go trzymał, balon nie wzbieje się daleko, a może pomoc jeszcze nadejść.

W tej chwili usłyszałem okropny trzask przy ogrodowej bramie, drewniany plot prysnął w kawałki i tuzin moich marynarzy, prowadzonych przez mego chłopca okrętowego Benoniego, wpadło przez trawnik i klomby. Balon jednak zdołał wzniesić się już o tyle, że przyjaciel Amerykanina nie czując gruntu pod nogami krzyczał do niego:

— Muszę cię puścić!

Kiedy to wołał rozwarł dłoń, Amerykanin uczeplił się go jednak jeszcze silniej.

— Puszczaj, albo utnę ci rękę! — wołał jego przyjaciel. W tejże chwili wyciągnął ogromny nóż i ciął nim w palce Amerykanina, które rozwarły się natychmiast, balon zaś, ulżywszy 150 funtów, wzbił się naraz w górę. Wszystko to się stało w przeciągu kilku sekund zaledwie. Kiedy moi marynarze wpadli, balon był zaledwie jakieś pięćdziesiąt stóp od ziemi, a że ropa, którą byłem umocowany miałą długości trzydzieści stóp, i że Amerykanin wisiał podemną trzymając się przyjaciela, zaledwie jakieś parę stóp brakowało nam do ziemi. Obecnie jednak

nie było już możności przyjscia mi z pomocą i tylko mogłem huknąć do nich:

— Zegnajcie mi chłopcy!

W górę, w górę pomnął balon. Podemną widziałem marynarzy, o słupiałych na chwilę ze zdumienia, pełnych chęci zemsty, na miejscu gdzie przed chwilą był umocowany balon, potem jak stado tygrysów rzucili się na bandę, która zadartszy nosy w górę, myślała już tylko o swoim Amerykaninie.

Mimo mej niezmiernie przykłej pozycji byłem w stanie widzieć, jak się skłębili w czarną kulę, w której rozległy się strzały tuzina pistoletów. Miałem jednak obecnie co innego do roboty. Dotąd trzymałem wciąż mego wroga w obu rękach. Amerykanin wił się jak szczipak na wędce i ryczał z przerażenia. Wszystko to jednak było nadaremne, żadna potęga świata nie zmusiała by mnie w tej chwili do puszczania ofiary, moje ręce wprost wpiły się w niego.

— Przebacz, przebacz! — jęczał.

— Przebacz? Kładny ptaszek z ciebie, proszę przebaczenia i to mnie, nie bój się, ja cię puszcze, ale nie teraz jeszcze. Zrozumiałeś, co mam uczynić z tobą?

— Uratuj mnie, a ja uratuję cie-

bie, trzymaj mnie za zranioną rękę, a uwolnij zdrową. Mam rewolwer, dam ognia do balonu, zrobi się otwór, by gaz uszedł, a za jaki kwadrans będziemy na ziemi!

Musiście zawisnąć ponad ziemią na jakieś pięćset stóp w powietrzu, aby pojąc jakie wrażenie wywierają do słowo „ziemia”. Za chwilę chwyciłem mocno jego lewą rękę, zwalniając prawą. Wyciągnął rewolwer i strzelił. Nie wzięliśmy jednak pod uwagę, że otwór tak mały, zaciągnię się i zaciśnie w siatce. Wznosiliśmy się wciąż wyżej i wyżej. Wypuścił rewolwer z ręki i złapał mię znowu zdrową dłonią. Ale krew, która broczyła się mu z rany uczyniła ręce moje oślizgłemi. Czulem przy tem, że są one zdrętwiałe, byłem wprost wyczerpany.

Ręce moje rozwarły się, on wydał przeraźliwy krzyk i poleciał na dół, jak niepotrzebny przedmiot, zrzucony z okrętu do morza.

Dotąd zachowałem świadomość mojej sytuacji, jakkolwiek zacząłem omdlewać, gdyż krew napłynęła mi do zwieszanej na dół głowy, po powrocie jednak do normalnej pozycji, czułem się jak człowiek, który z odurzenia zaczyna trzeźwieć. Ale uprzednio wisząc głową na dół mogłbym przysiąc, że ziemia jest nademną. Chciałbym ją dosięgnąć ramiionami, uchwycić się jej i trzymać.

W tejże chwili coś się stało ze mną jeszcze okropniejszego. Czy spowodował to wiatr, który się zerwał w tej chwili, czy ulżenie balonowi przez zrzucenie Amerykanina doś, że zacząłem uczuwać ruch wadhadlowy, który stawał się coraz to gwałtowniejszy, aż moje ciało za-

częło bujać tam i z powrotem jakieś pięćdziesiąt lub więcej stóp. Każdą razą, kiedy dobiegałem najwyższego punktu rozlegał się trzask, „ropa pęknie” myślałem. I dotąd nie mogę pojąć dla czego tak się nie stało. Każdą razą, kiedy m bujał z powrotem, zamykałem oczy, mówiąc do siebie: „To już po wszystkim!”

Jak długo to trwało nie wiem, po chwili bowiem straciłem na szczęście przytomność, inaczej chyba dostałbym obłędu.

Po odzyskaniu zmysłów zacząłem się namyślać, co było możliwego do zrobienia w tej sytuacji. Najpierw spostrzegłem, że moje więzy są znacznie pod piersią i że mógłbym stopniowo zniżyć je tak dalece, że zamienić na siedzenie. Po wielu wysiłkach udało mi się dokonać tego, przez co doznałem niezmierniej ulgi, odzyskując normalną pozycję. Duch mój się podniósł we mnie i po chwilowym odpooczynku rzekłem do siebie:

— Odwagi Mariuszu! Może ci się przecie jeszcze uda uratować siebie. Masz teraz siedzenie, zamiast wisieć. Żadna z twych kości nie jest złamaną. W twoich dloniach masz tegoś linę, a marynarz wiele może dokonać z liną. Nie brak ci żywności, a posilwszy się nieco i ugasiwszy pragnienie, spędzisz dobrze chwilę, smakując zawartości zapasów.

W kwadrans później, po spożyciu dobrej porcji pieczenia i po kilku tegich łykach grogu zdobyłem z powrotem moją zwykłą zimną krew. Spojrzałem w górę na balon rze-klam sam do siebie:

— Nie masz tu nic do roboty,

jesli zostaniesz na dole, a lina pęknie napewno. Spróbowałem wciągnąć się rękami po linie, ale to było ponad moje wyczerpane siły. Kilkakrotnie ponawiałem próby, ale zawsze napróżno. W końcu resztki sił moich odmówiły mi zupełnie posłuszeństwa. Na chwilę straciłem odwagę, opadłem w pętlicę i zacząłem łono:

— Już jest po mnie!

Gdyby nogi moje były wyprostowane, byłbym wysliznął się z pętlicy i zleciał na dół, a wówczas istotnie byłoby po wszystkim. Ale, że nogi były skurczone w kolanach, zawisłem na nich, a gwałtowne szarpnięcie mego ciężaru ocutło mnie, że jeszcze nie jestem stracony.

Jak sobie łatwo możecie wyobrazić, moi przyjaciele, nie pozostawałem długo w tej pozycji. Natychmiast bowiem uchwyciłem się ropy i usiadłem w pętlicy z powrotem.

— Do tysiąca piorunów! — zawolałem do siebie — nie, nikt nie powie o kapitanie Mariuszu Congourdan, że postradał życie, gdyż nie mógł wdrapać się na trzydziestostopową linę. Ale co powinienś zrobić, to najpierw wypocząć i odzyskać siły, następnie wynaleść sposób wypoczęcia w połowie drogi, gdy zaczynasz z ręki na rękę podciągać się w górę. To pytanie zabiło mi cwička w głowę. Nie przedstawiałem bowiem sobie, w jaki sposób mógłbym podciągnąć wyżej linę bez użycia przynajmniej trzech rąk.

Zdaje mi się, że byłem przepelniony wścikłością, kiedyś przyszedł do tego przekonania. Pod wpływem tego uczucia złapałem z-

bami ropę i wszystkie moje trzydziści dwa zęby wpiły się w nią. Cudo! Znalazłem trzydziści rąk w moich szczękach!

Zabrałem się do pracy nie tracąc już ani chwili czasu. Posunąłem się ostrożnie raz, dwa i uchwyciłem linę zębami, następnie uwolniony obie ręce, odwiązałem moją pętlicę, podciągnąłem ją w górę i przywiązałem znowu najlepiej jak mogłem. W ten sposób lina skróciła się o trzy stopy. Następnie usiadłem znowu, aby wytchnąć po tym wysiłku.

Trzykrotnie powtórzyłem te czynności i w końcu znalazłem się senu o jakieś tylko dwie stopy od sznurów siatki, które już mogłem uchwycić. Złapałem jeden z nich i wkrótce mogłem już dotknąć balonu. W tej pozycji czułem się już zabezpieczony i zacząłem naprawdę odzyskiwać nadzieję, że się jeszcze mogę uratować. Olbrzymia machina, która rozciągając się nademną zasłaniała większą część nieba, była jakby dachem zbawiennym. Zacząłem paznokciami brać materiał, z którego był balon zrobiony i znalazłem, że jest mocniejszy niż przypuszczałem. Był on pokryty lakierem i było niemożliwe zdrapać go lub zrobić jakąkolwiek rysę na jego powierzchni.

— Teraz muszę cośkolwiek uczynić, aby przebić tę kulę — myślałem — ale w jaki sposób? — Dzieściokrotnie powtarzałem ją dla dodania sobie odwagi słowa Amerykanina:

— Mam rewolwer, dam ognia do balonu, zrobię otwór, którym gaj wyjdzie, za kwadrans dosięgniemy ziemi!

Powtarzałem te wyrazy jak o błakany. Ach! Jeszcze raz ujrzeć znowu drzewa, kwiaty, domy ludzi! Czuć stały grunt pod stopami! Ach, mój biedny okręt, mój „Bonne Mère”. Jeszcze raz być na jego pokładzie, w czasie pięknej pogody o wschodzie słońca, gdy załoga spoczywa dokoła, śpiewając wesoło, ja zaś siedząc na wyższym pokładzie z dobrym cygarem w ustach, wciąż gam powiew powietrza Marsylii. Ha, chociażbym miał rozderzczyć zębami muszę, muszę otworzyć ten worek gązów!

Wsunąłem rękę do kieszeni i wyciągnąłem z niej nóż, rodzaj sztyletu, dostatecznie ostry, aby otworzyć nim muszlę nawet. Rozwarłem go i ciąłem w balon. Niestety! Uderzyłem nożem w węzeł siatki, ostrze zwinęło się i przysło, pozostawiając w rękę rękojeść tylko. Na kilka minut odrętwiałem zupełnie, potem zaś z desperacji gotów byłem rozwiązać węzeł i raz już zakończyć moje cierpienia.

Nie jestem jednak człowiekiem, któryby się poddawał znowu tak łatwo. Wkrótce odzyskałem równowagę i zacząłem poszukiwać przedmiotu, którymby mógł przeciąć balon. Złamałem franka między zębami, ale nie był on dostatecznie jeszcze ostry. Przez chwilę przyszło mi do głowy rozbić butelkę i użyć szkła za nóż, ale po namyśle cofnąłem zamiar, pozabawilo by mię to bowiem napoju, który mógłby jeszcze być pożądanym.

Po kilkokrotnie, daremnie poszukiwaniu w moich kieszeniach, przesuwałem z desperacją rękę wokół bioder i uczulem silne uklucie sprzączki od spodni. Gwałtownym

ruchem zerwałem z klapy, do której była przyszyta i znalazłem, że ma ona trzy ostre zakończenia. Wpakowałem je tedy jak tylko mogłem sięgnąć wysoko w powierzchnię balonu. Trzy syjące otwory zaczęły sapać jak miech kowalski. Balon zaczął się opróżniać. Gdybym powiedział, że zaczął opadać, byłoby to więcej niż wiedziałem, gdyż nie mogłem zauważyć w najmniejszym stopniu zmiany pozycji. Po kilku jednak minutach czulem stanowczo, że zimno zaczęło się zmniejszać i że oddychałem swobodniej.

Nowy jednak niepokój mi ogarnął. Materiał, z którego balon był zrobiony, był napięty, a przecięcie zaczęło rozszerzać się coraz to bardziej.

— Jeżeli tak będzie dalej — mówiłem do siebie — balon pęknie od spodu do góry, a wówczas razem spadniemy, jak kamień.

Na szczęście wiązania siatki do dały mi nieco otuchy, gdyż z chwilą kiedy pęknięcie doszło do sznurka, zatrzymało się i nie posuwało dalej. To uspokoiło mię tak dalece, że mogłem pomyśleć o spojrzeniu na dół. Zapewniał was, moi przyjaciele, że gdyby nie okropna pozycja, przypuszczałbym, że oczy moje napawałyby się widokiem, tak pięknym, jaki nie wielu ludzi widzieć może. Wszystko wokół mnie było lśniące, słoneczne, niezamczone najmniejszą mgielką. Podemną zaś — trzysta lub czterysta stóp, kłębiło się morze obłoków, na pół czarnych, na pół czerwonych, jak rozpalone żelazo, jak gdybym znajdował się ponad płonącym olbrzymim piecem. W kilka minut dotarłem do mgieł i byłem otoczony niemi,

najpierw białemi, potem szaremi, w końcu niemal czarnemi. Następnie usłyszałem głuchy, przeraźliwy loskot i czulem wściekły powiew wiatru, potem nastąpiły ogromne wybuchy piorunów i grzmotów, deszcz lał potokiem, a grad wielkości kurzych jaj zaczął padać dokoła. Jeden z piorunów zabłysnął tak potężnie, że mogłem widzieć jak w słońcu.

Jak możecie wyobrazić sobie, byłem wzburzony tem wszystkim. A jednak gdy myślę o tem wszystkim, com widział, gdy przypominam sobie jak mi tłukły kawały lodu, oświecone błyskami błyskawic, migocące w nich jak deszcz pereł i diamentów, chciałbym ujrzeć to znowu, chociaż wyznaję nie z lin balonu.

Burza trwała jakiś kwadrans i stopniowo zaczęła się uciszać, obłoki przy tem stawały się coraz jaśniejsze. Ciepły powiew wiatru szarpnął i określił balon. Mgły stawały się lżejsze, i lżejsze, doszły wkrótce do przezroczystości woalu, przez który można było przejrzeć i dojrzeć na dole zieloną przestrzeń, była to ziemia!

Na widok ziemi straciłem zmysły. Krzyczałem, płakałem, powiewałem pieśni i miałem uczucie w nogach, że chciałbym tańczyć. Nietety, panowie, moja radość nie trwała długo. Uczulem pałacy powiew wiatru i przyszedłem do wniosku, że balon zostanie nim porwany. Patrząc na słońce, które już niemal zachodziło widziałem, że się posuwam w kierunku północno-zachodnim. Właśnie robiłem te spostrzeżenia, kiedy naraz rozległy się dwa, jeden po drugim trzaski. Słyszałem

je nademną i podniosłem głowę do góry. Zobaczyłem przerażony, że otwór rozszerzył się aż poza dwa oka siatki i dosięgnął co najmniej dwóch i pół stóp. Odkrycie napędziło mnie przekonaniem, że spadałem zbyt gwałtownie. Wiedząc jednak, że niema na to lekarstwa, mogłem jedynie wierzyć w szczęście i modlić się, aby Opatrzność przecie nie opuściła mię zupełnie.

Spadałem. Przestrzeń podemną zmieniła barwy. Jedna część stała się bladą i nieprzerwanie niebieską, inna ciemno zieloną z plamami ciemno żółtymi i lekko brunatnymi. Wywnioskowałem, że część niebieska to morze, inna część jest lądem. W balonie tymczasem rozległ się znowu trzask, po którym nastąpił jeszcze inny.

Odgłosy te przeszły mi dreszczem przerażenia, spojrzawszy w górę i widząc jak otwór rozszerzył się, rzekłem jeno:

— Peknij, jeżeli musisz, ja już nic więcej nie poradzę.

Miałem jednak tę nadzieję, że przecie pierwaj dosięgniemy ziemi, zanim pęknięcie rozszerzy się od spodu do szczytu. Szybkość z jaką zniżaliśmy się wskazywała, że koniec podróży nie może być zbyt odległym. Czulem nawet, że włosy na głowie podnosiły mi się powiewem powietrza, przez które ja i balon lecieliśmy.

Z każdą chwilą barwy na dole stawały się bardziej określone, z każdą też chwilą przedmioty rozdzielaly się i wyodrębniły od siebie coraz to bardziej. Ach! góral las! skała! prerie! jezioro! Jezioro stawało się coraz to szersze i szersze. Drzewa, które się wyłoniły na

brzegu były coraz wyraźniejsze, wreszcie stało się ono olbrzymie. Balon zbliżał się do niego niżej, coraz to niżej. Ptaki latały swobodnie ponad temi wodami. Głosy zaczęły dolatywać z ziemi — okrzyki zwierząt. Wiatr zmusił balon do zmiany kierunku spadania i to tak gwałtownie, że było mi trudno odychać.

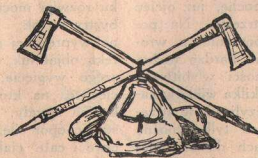
Ciągle, ciągle spadałem. Jestem już jakieś sześćdziesiąt stóp od powierzchni wody! Wiatr zrywa się jeszcze silniejszy, lece prędzej; ale gaz wciąż wypływa, otwór rozszerza się coraz bardziej i jestem coraz to niżej i niżej. Jestem już za-

ledwie trzydzieści stóp ponad wodą! Gwałtowny powiew wiatru podniósł na kilka stóp balon. Jeszcze jeden taki, a będę uratowany od gwałtownego spadania.

Gaz się już wyczerpał. Balon wciąż spada coraz to niżej ziemi, wiatr znowu zwiął go w bok i nieco podniósł, znalazłem się tuż niemal u brzegu, gdzie się wysuwały skały. Wsunąłem mój korpus z pętlicy, zawisłem na niej i rzuciłem się do wody. Przepłynąłem do skalistego brzegu i uchwyciłem się wystających głazów.

Byłem uratowany!

E. Mouton.



Strzelanie z łuku.

Strzelanie z łuku, jako sport, nadzwyczaj mało jest rozpowszechnione nie tylko u nas, ale nawet i na Zachodzie. A przecież w starożytnej Grecji strzelanie z łuku było zaliczane do klasycznych ćwiczeń i było traktowane zarówno z zapamiętnieniem i z innymi ćwiczeniami cielesnymi. Za dowód mogą nam posłużyć pozostałe posagi, które wyobrażają bohaterów z łukami.

W wiekach starożytnych łuk był jedyną bronią człowieka, to też znajdował się w każdym domu, a chłopca, gdy podrośł trochę, już ojciec uczył wprawnie strzelać. Na polowaniu i przy spotkaniu z wrogiem łuk odgrywał bardzo ważną rolę, a w szczególności w bitwach morskich. I przez kilka wieków nasi przodkowie ćwiczyli się w strzelaniu z łuku. Teraz tylko można spotkać łuk w rękach dzikich mieszkańców Afryki i Australii. Z wynalezieniem prochu, łuk został wyparty i poszedł w zapomnienie, zastąpiła go strzelba nabijana prochem, która niczem już nie może dorównywać łukowi. Strzelanie z łuku dawało naszym przodkom: męstwo, zdrowie i silne ciało, a przedewszystkiem silne ręce, czemu posłużyć mogą za wzór, stare pomniki i obrazy przodków naszych i innych narodów z dawnych wieków. Nowoczesna strzelba dla zdrowia i cia-

ła nic nie daje, a nawet przy niedołożeniu obchodzeniu się z nią powoduje śmierć lub kalectwo. Sportsmanom, którzy mają na myśli nie tylko wzmocnienie tej lub innej grupy mięśni, ale dojście do wszechstronnego rozwinięcia ciała, strzelanie z łuku może przynieść wielką korzyść. Strzelanie z łuku nadzwyczaj prędko i nieznacznie wyrabia w całem ciele giętkość i elastyczność. Żaden inny rzut nie wymaga tak delikatnych ruchów, jak łuk.

Niedość na tem, strzelanie z łuku rozwija mocny i pewny chwyt i bystry wzrok. Młodzieniec w pięknej wyprężonej staję postawie, lewą ręką objął łuk w pośrodku najwyższego wygięcia, a prawą naciąga cięciwę, na której spoczywa ostry koniec strzały. Lewe ramię musi stawić opór sile, z jaką naciąga cięciwę i całe ciało przytem w należytem zostaje nateżeniu. W przegubie łędźwiowym przegina się tułów nieco w tył, w której to postawie mięśnie plecowe i udobiodrowe go trzymają; mięśnie zaś nóg nadają temu przegięciu równowagę przez wyteżenie mięśni i silne oparcie stopy o ziemię. I z tego powodu właśnie człowiek staje się celnym, dokładnym i zimnym w rumach i w swoich wszystkich zamiarach.

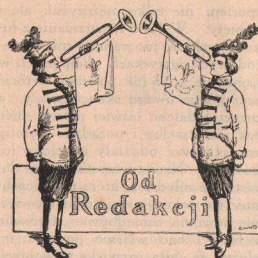
Te przymioty dodatnio oddzia-

ływają także na charakter; człowiek staje się dzielnym, uczy się postępować według własnej inicjatywy i chwycić chwilę sposobną do czynu. Siła, jakiej wymaga strzelanie z łuku jest tak znaczna, że osiągnąć ją można tylko zapomocą należytego treningu. Wśród zalet opisanego sportu staje na pierwszym planie taniósć i zbedność specjalnych budynków lub uporządkowanych do tego placów. Niezbędny jest tylko łuk i kilka strzał, a pustych placów chyba nie brak. Łuk nawet można zrobić sobie samemu, byle mieć tylko dobry wzór. W ostatnich czasach na łuk zwrócili uwagę Anglicy i jest to charakterystyczne, że tam zajmują się tym

sportem nie tylko mężczyźni, ale i kobiety. W 1908 r., strzelanie z łuku weszło w program na międzynarodowych igrzyskach olimpijskich w Londynie. Na łuk powinni zwrócić szczególną uwagę skauci polscy, a przecież daleko łatwiej można mieć łuk niż strzelbę i pożądane byłoby zorganizować oddziały strzelców łukowych. Nawet wszystka nasza dorastająca młodzież, która ma sposobność na wakacje wyjeżdżać na wieś, nie powinna zaniedbywać strzelania z łuku i ono właśnie powinno im służyć za miłą rozrywkę w wolnych chwilach.

Włodzimierz Sakałowicz.





W poprzednim numerze staraliśmy się ściślej określić czego wymagamy od konkursowych charakterystyk, tu dodajemy jeszcze, że nie są one jednak tak trudne jakby się z pozoru zdawało i przy pewnym skupieniu i uwadze skreśliły te charakterystyki szybko i silnie, dając w jędrnej i zwieżłej formie istotną treść danej postaci dziejowej, świadczą o tym wyraziście niektóre z nadesłanych rozwiązań. Rzekome więc trudności nie powinny zrażać tych, co pragną stanąć do konkursu.

W zesłym numerze daliśmy dwie współczesne sobie i znakomite postacie dziejów naszych, obecnie wizerunki rówieśników w najdokładniejszym znaczeniu tego słowa. Zgadnąć kogo przedstawia pierwsza łatwiej, bo szkic robiony jest z portretu bardziej rozpowszechnionego, natomiast nieco trudniej przedstawia się sprawa z drugą, która wzięta została z portretu mniej znanej i z młodszego wieku bardzo zresztą popularnego wodza naszego.

Przekonaliśmy się z zadowoleniem, że wskazówki podane poprzed-

nie co do rozwiązań skautowych, odniosły już poniekąd swój skutek i nadsyłane obecnie prace coraz śmielej i wyraźniej zdążają po drodze tych szkiców wywiadowczych, o których wspominaliśmy.

Charakterystyka w szkicu swoim powinna być taką, że nawet po odrzuceniu wszystkich nazw, nazwisk i dat, można odrazu poznać o jaką postać dziejów naszych chodzi.

Szkic sytuacyjny i raport wywiadowczy powinni być krótkie, zwięzłe i jasne.

Na skutek prośby naszych czytelników termin nadsyłania rozwiązań konkursowych przeniesiśmy z 11-go na 21-go Kwietnia.

*

Ponieważ z nadchodzącą wiosną zbliża się też okres coraz to liczniejszych wycieczek (choć dla dzielniejszych wycieczek (choć dla dzielniejszych wycieczek (choć dla dzielniejszych wycieczek), przeto będziemy, począwszy od następnego numeru, drukować cały szereg rzeczy z dziedziny pionierki, terenoznawstwa, krajoznawstwa i t. p. Będziemy mieli nawet rozprawę o kucharstwie połowem dzięki znajomości tej sprawy i biegłości w tej dziedzinie jednego z naszych czytelników i współpracowników.

Prosimy o nadsyłanie własnych spostrzeżeń i doświadczeń z tych dziedzin, a także nowych pomysłów i wynalazków, któreby mogły rozszerzyć naszą wiedzę w tym zakresie i przynieść konkretny pożytek kolegom w ich wędrowkach po kraju i wśród rodzinnej przyrody.

*

Numerem obecnym kończymy, że tak powiem, zime, dlatego umieszczamy z zapasu naszej teki redakcyjnej wyjęty artykuł o narciarstwie. Artykuł ten na najbliższe czasy ma już tylko bardziej teoretyczne znaczenie i z użytkowaniem jego musimy czekać jesieni. Bo chociaż jeszcze w górach śniegi dość długo mogą leżeć, to i tam nawet wobec nadejścia okresu groźnych lawin nie będzie on narazie do użytkowania.

Natomiast umieszczamy tu odrzucony artykuł „wiosenny”, o żegludze na Wiśle, ten już może mieć i będzie miał natychmiastowy praktycz-

ny wynik, bo już wędrowki i po naszej modrej Wiselce rozpoczęły się, już się ona swoim połyskiem, to złota, to srebrna mieni i zdaje się z niecierpliwą tęsknotą wyczekiwać, aż się wybrzeża zazielenią i przyobleką w barwne szaty wiosenne.

Artykuł „Na Wisle”, napisany z umiłowaniem naszej rzeki i ze znawstwem życia na niej, może i powinien młodzież naszą zainteresować, a nawet przynieść nie małą garść wiadomości praktycznych.

Niech westchnienie głębokie i pieśń rzeki naszej, teraz z wiosną do Wisły pociągną.



Zapis dr. Alfreda Burzyńskiego.

Tylko cośmy umieścili wiadomości z Anglii wraz z listem gen. Baden-Powella, odwołującym się o pomoc dla ruchu skautowego w Wielkiej Brytanii o pieniądze zasilenie jego przez społeczeństwo, zaszedł fakt w społeczeństwie naszym świadczący o tem jak już jest ocenianym ten ruch u nas. Ruch skautowy w Galicji otrzymał hojny dar, zapisał ś. p. dr. Alfreda Burzyńskiego.

Dr. Burzyński zapisał dwa domy we Lwowie, których cena sprzedażna ma wynosić nie mniej niż 1,000,000 koron. Suma powstała ze sprzedaży tych domów, po potrąceniu rozlicznych należności i nie-

wielkiego dożywocia rodziny zmarłego obywatela, ma być użyta, na cele skautowych kolonii wakacyjnych.

Z sumy zapisanej ma się utworzyć fundusz żelazny kolonii skautowych polskich, mają też być zakupowane obszary pięciomorgowe na wieczystą własność kolonii skautowych.

Oprócz tego ś. p. Burzyński zbioru swoje przekazał Muzeum Narodowemu na Wawelu w Krakowie.

Testament swój ten prawdziwy obywatel kraju kończy piękną pieczęcią zamknięcia myśli swoich:

„Niech to będzie ku pożytkowi kochanej Ojczyzny”.

Wykonawcą woli zmarłego jest wydział „Sokola-Macierzy” we Lwowie wraz z kilku innymi osobami, wybitne w społeczeństwie zajmującymi stanowisko.

Cześć obywatelskiej pamięci tego Polaka.

Odpowiedzi Redakcyi.

M. Wilk. Tak, dzielne to poznanie. I tak się należy zabierać do każdej pracy moralnej z energią, stanowczością i wytrwałością, nie cofając się przed żadnymi przeszkodami i straszakami, a wtedy bezwarunkowo dopnie się celu, celu nam wspólnego udoskonalenia zarówno jednostek jak i całego społeczeństwa.

Należy tylko pamiętać, że umoralnienie nie może powstawać tylko na podłożu biernych nakazów: „nie rób tego, lub nie czyń owego”, lecz musi i to w pierwszym rzędzie opierać się na nakazach czynnych, agresywnych, zdobywczych: „zrób to, postępuj tak, tak działaj”. W tym tylko wypadku idzie się coraz dalej do coraz wyższych wartości moralnych, do coraz większej doskonałości.

Nie jedna etyczna organizacya, nie jeden związek umoralniający i towarzystwo abstynenckie upadły dlatego, że miały tylko właśnie tę stronę bierną *zakazu*, natomiast nie miały tej strony czynnej *nakazu*.

Natury biernie wogóle są skłonne do stawiania przedewszystkiem *zakazu* i pod wskazania tego z łatwością podporządkowują się, uwa-

żając, że dokonały wielkiej rzeczy, a nie podejrzewają przy tem jak mało dokonały, a raczej jak niczego jeszcze nie dokonały.

Powinniśmy szczególną na to zwrócić uwagę, gdyż my jesteśmy skłonni do bierności, więcej spośród nas spotykamy ludzi biernych niż czynnych. Często nawet okazujemy wielki zapas energii bierniej, okazujemy wielką odporność, ale to mało; z tem w najlepszym razie możemy wiele zachować (i to zresztą do czasu), ale natomiast nic nie zdobędziemy. Musimy więc wyrazić w sobie energię czynną, jak najpilniej kształcić siebie w tym kierunku.

Jednostka czynna poprostu kocha się w *nakazie*, sama je sobie stwarza i idzie zdobywco na spotkanie wytkniętych przez siebie celów, udoskonalenia swojej istoty.

Skauting jest szkołą wytworzenia energii czynnej, jest jej skarbnicą, i stąd olbrzymia wartość tego genialnego systemu.

Ta czujność czynna, którą system gen. Baden-Powella stara się wzbudzić w młodzieży, jest podstawową dla rozwoju energii czynnej, rozumnej i celowej.

Zresztą z listu pańskiego widzę, że pan sam należy do ludzi o energii czynnej. Chodzi tylko o to, że umoralniając siebie i innych, umoralnienie to budować należy na ośnowie czynnej pod siłą nie tyle *zakazu* ile *nakazu*.

Zresztą poza tem cały plon pański godzin jest poparcia, pomyślanym z rozwagą, może wydać piękne owoce. Sądzę, że koledzy pańscy rychło się przekształcą i znalazzą szersze widnokręgi ideałów w swo-

jej istocie wewnętrznej zbudują sobie nowy gmach — piękny i trwały.

Co do książki o której pan wspomina, to dobrze jest sobie przypomnieć starą dobrą książeczkę, choć obecnie już prawie zapomnianą, a mianowicie „Pamiętkę po dobrym ojcu” Michała Wiszniewskiego. Tu wiele można znaleźć.

*

Z. M. z Wilna. Z pism najodpowiedniejszych w tym kierunku jest „Ziemia” organ Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. Obecnie jedyne u nas pismo krajoznawcze, gdyż lwowski „Lud” jest organem specjalnie etnograficznym i folklorystycznym. „Ziemię” możemy polecić jak najgoręcej, pod redakcją Kazimierza Kulwiecia jednego z najbardziej oddanych pracowników naszego krajoznawstwa, spełnia ona od pięciu lat swój obywatelski i naukowy obowiązek z godną uznaniem wszechstronnością.

Kto chce być całkowitym oby-

watelem swego kraju, posiadającym pełnie samowiedzy narodowej, ten musi znać „Ziemię”. Zespala nas to pismo jak najwszechstronniej i najgruntowniej z naszą Ojczyzną; staje się ona dla nas umiłowanym, barwnym, pełnym życia obrazem.

Niestety dla wielu z spośród nas kraj nasz przedstawia się jako biała niczem jeszcze nie zapisana karta, czasem jako mgławica nieokreślona, w której kłębią się tu i owdzie szczytki rzeczy przypadkowo widzianych, wspomnień z podręczników, pism i książek, jakieś szmaty i ułamki z których skleca się dość fantazyjną całość. A tymczasem znajomość swego kraju, jego przeszłości i stanu obecnego, to jedna z najważniejszych, jedna z najbardziej koniecznych rzeczy.

Polskie Towarzystwo Krajoznawcze wraz z organem swoim „Ziemią”, od szeregu lat spełnia wielki obowiązek narodowy w pracy nad badaniem kraju rodzinnego i rozszerzeniem wiedzy o niem.



Cena ogłoszeń:

A. Na okładce:

- a) Strona odwrotna (ostatnia) . . . 75
 b) Strona wewnętrz. (przed tekst.) 50
 c) Strona wewnętrzna (po tekście) 40

B. W książce:

- a) Przed tekstem 40
 b) Po tekście 30

| Cena strona | |
|-------------|----|
| lil. | k. |
| 75 | |
| 50 | |
| 40 | |
| 40 | |
| 30 | |

Prenumerata wynosi:

W Warszawie:

| | |
|----------------------|---------|
| Rocznie | Rb. 6.— |
| Półrocznie | " 3.— |
| Kwartalnie | " 1.50 |

Z przesyłką pocztową:

| | |
|----------------------|---------|
| Rocznie | Rb. 7.— |
| Półrocznie | " 3.50 |
| Kwartalnie | " 1.75 |

W Galicyi:

| | |
|----------------------|-----------|
| Rocznie | Kor. 16.— |
| Półrocznie | " 8.— |
| Kwartalnie | " 4.— |

Administracja otwarta codziennie (z wyjątkiem niedziel i świąt) od godz. 9 rano do godz. 8 wieczorem.

Listów nieopłaconych lub niedostatecznie frankowanych nie przyjmuje się.
 Rękopisów nadesłanych nie zwraca się.

Cena pojedynczego zeszytu: w Warszawie kop. 30; z przesyłką pocztową kop. 35; w Galicyi kor. 0.80.

Prenumeratę najlepiej przesyłać wprost do Administracji „Skauta” w Warszawie: Księgarnia J. Lisowskiej, Al. Jerozolimska 29, tel. 145-40.

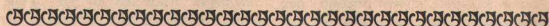
ADRES REDAKCYI:

Warszawa, Księgarnia J. Lisowskiej,
 Al. Jerozolimskie 29, tel. 145-40.

ADRES ADMINISTRACJI:

Warszawa, Księgarnia J. Lisowskiej,
 Al. Jerozolimskie 29, tel. 145-40.
 Kraków, G. Gebethner i S-ka.

Adres Redaktora: Ludomił Czerniewski. Wilcza 72, telefon 402-98.



Spis rzeczy: Wiosna. — Skok na nartach, przez M. K. — Na Wiśle, przez P-k — Wakazówki dla skautów, przez generała Baden-Faulla. — Niech pieśnią rozlega się echo, przez H. S. — Amerykańska zemsta, przez E. Mouton'a (dokończanie). — Strzelanie z łuku, przez Włodzimierza Sabotcza. — Od Redakcyi. — Odpowiedzi Redakcyi. — Pierwszy konkurs. — Kiddi, Dziecię Obozu, powieść skautowa przez R. Leightona (Ciąg dalszy).

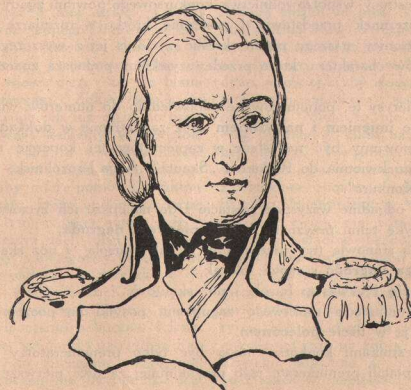


Redaktor i Wydawca Ludomił Czerniewski.

Druk F. Wyszynskiego i S-ki, Warszawa, Zgoda 5. Telefon 172-28.



VII.



VIII.

Z seryi naszych konkursów rozpoczynamy

Pierwszy Konkurs

który trwać będzie do 15-go Kwietnia.

Warunki konkursu:

W każdym numerze „Skauta”, począwszy od 4-go aż do 7-go włącznie, podawać będziemy po dwa rysunki, przedstawiające znane i zasłużone postacie z przeszłości naszej, przyświecające cnotami, siłą charakteru, dzielnością, miłością Ojczyzny i bezwzględne oddanie się dla jej dobra. Będą to więc wizerunki postaci, które wyrosły w przeszłości naszej do znaczenia dziejowego, stały się wzorem i przykładem w pełni cnot swoich rycerskich i obywatelskich, będą to wizerunki postaci, które znać powinien każdy Polak, a każdy młodzieniec polski obraz ich nosić wryty głęboko w sercu i pamięci.

Uczestnicy współzawodnictwa konkursowego powinni zgadywać kogo dany wizerunek przedstawia i następnie krótko w rozmiarze najwyższej jednej strony naszego pisma skreślić życiorys jej z wyszczególnieniem tych rysów charakteru, które przedewszystkiem podnoszą znaczenie tych postaci.

Zyciorysy te, ponumerowane odpowiednio do numerów wizerunków podpisane imieniem i nazwiskiem oraz zaopatrzone w dokładny adres autora, powinny być nadesłane w zapieczętowanej kopercie najpóźniej dnia 15-go kwietnia do Redakcyi „Skauta”, Aleja Jerozolimska 29, z napisem „Konkurs”.

Kto odgadnie wszystkie postacie i da najlepsze ich zyciorysy i charakterystykę temu przyznana będzie **pierwsza nagroda**,

którą stanowią trzy przedmioty: plecak—busola—i nóż skautowy,

drugą nagrodę stanowi: plecak,

trzecią i czwartą: busola i nóż skautowy.

Dla uniknięcia możliwego zagubienia posyłki na pocztę, najlepiej wysyłać ją w **liście poleconym**.

Uczestnikami konkursu mogą być tylko prenumeratorzy „Skauta”, którzy opłacili prenumeratę jego przynajmniej za dwa pierwsze kwartały roku 1914.

Kiddi, Dziecię Obozu.

Powieść skautowa R. Leightona, tłum. O. M.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ VI.

Wąwóz Jednego drzewa.

Krajobraz? Istotnie jest bajecznie ładny. Tego nikt nie zaprzeczy. Patrz na te góry tam w dali! Czyż nie są piękniejsze od gór, któreśmy podziwiali w Szwajcaryi? Albo ta przełęcz, którą mijaliśmy wczoraj! Wciąż o niej myślę. Choć i ten wąwóz Jednego Drzewa, w którym obecnie jesteśmy, dużo ma w sobie uroku. O preryach wolę nie mówić, wiesz ojcie, że się niemi nie zachwycam. Zdaje mi się, że nie pozostaje ich już dużo do przebycia i wnet staniemy w siedzibie Kartera. Ależ to wściekła mordęga wlec się z Anglii aż tu dlatego tylko, żeby móżd pomówić z jakimś tam frycem, który w dodatku może nie być tym, o kogo nam chodzi.

Płócienny dach furki był z jednej strony podciągnięty, więc ranne słońce wpadało bez przeszkody do wnętrza, gdzie siedzieli dwaj podróżni, Godfryd Sewern i jego ojciec. Obaj byli oparci o boczne ścianki kołyszącej się furki i patrzyli w głąb wąwozu ku odległym wzgórzom. Frydek niczem nie przypominał ucznia angielskich szkół publicznych.

Twarz jego była prawie brązowa od wiatrów oceanu i słońca amerykańskich równin. Odziany był w strój z zielonkawatej wełny, przepasany ciemnym, skórzanym paskiem, a na głowie miał szeroki, pilśniowy kapelusz.

Rynsztunek jego stanowiły: latownica i mały, zgrabny rewolwer.

Ten ostatni służył mu raczej za ozdobę aniżeli za broń, którąby się stosownie wziąć go ze sobą do kraju, słynnego z napadów dzikich Indian, wielkiej liczby złodziei, awanturniczych śmialków i szarych niedźwiedzi. Mimo to nie przypuszczał, by mógł go kiedy użyć w własnej obronie. I w istocie, jak dotąd, wszystkie jego oczekiwania zostały zawiedzione, ponieważ droga wiadąca ku Słonemu Jezioru, którą własnie przebywali, nie zdradzała najmniejszych śladów obecności Indian, szarych niedźwiedzi albo bawołów.

— Zeby choć stado żubrów, otczonego gromadą krzyczących Indian, uwieryłbym, że jestem wśród preryi—rzekł.—Dotąd nie widzieliśmy jeszcze ani jednego żubra, ani prawdziwego Indianyina, z wyjątkiem tego cudaka w niebieskim stroju indyjskim, któregośmy spotkali w Gorz-

kim Ostepie, tylko, że tamten był prawie pijany i wcale nie wyglądał na dzikiego, tak jak go sobie wyobrazałem.

— Mimo to miał postać dzielna i malowniczą — zauważył pan Sewern i rzucił niedopałek cygara w stronę jeźdźcy, który jechał milcząco opodal furki, tworząc niejako jej straż tylną. — Zdaje mi się, że spotkanie się z nim na ścieżce bojowej nie przyniosłoby wstydu. Zapewne, nie był wtedy przystrojony w wojenną szatę, nie miał tomahawka, ani szyszaka bojowego, lecz i tak twarz jego wydała mi się mimo wielu blizn, bardzo piękną, a cała postać niezwykle majestatyczną. Czy nieprawda?

Tymczasem jeździec, który wraz z innymi stanowił konwoj dla jadących w furce podróżnych, a był zarazem ich przewodnikiem, zbliżył się do furki i zaczął z niezwykle zajęciami przysłuchiwać się ich rozmowie.

— Możliwe, że na koniu wygląda majestatycznie — mówił Frydek. — Gdy idzie, przypomina z ruchów wytuczoną kaczkę.

Jeździec wciąż słuchał. Opuszczył na chwilę uźde, zdjął rękawice z końskiej skóry i dobył z kieszeni małą fajeczkę. Widząc to, p. Sewern podał mu grzecznym ruchem swoje srebrne pudełko z cygarami.

— Sproбуйте jednego, panie Wilku — zapraszał. Słyszał, że tak nazywano tego człowieka, którego

właściwe nazwisko, znane na całych preryach, brzmiało Jan Wilcza Łapa.

Wilk skinął głową, przechylił się w siodle i wziął jedno z podanych mu cygar. Frydek Sewern zauważył przy tem, że ręka jeźdźcy była niezwykle czysta, a paznokcie równo obcięte. Zdziwiło go także, że jeździec zamiast obgrzyźć lub odłamać koniec cygara, obciął go zgrabnie, łśniącym ostrzem zakrzywionego noża, który wisiał przy jego pasku. Gdy zapalał cygaro, światło zapalki, którą dłońią od wiatru osłaniał, padło wprost na jego twarz o ciemnym zaroiście, którą osłaniał, szeroki meksykański „sombbrero”¹⁾. Była to twarz surowa, chuda, niemal wynędzniała, z wystającymi kośćmi policzkowymi i przenikliwymi, błękitnymi oczyma. Zgasił zapalke, lecz zanim ją odrzucił, zdusił tlejący koniec w palcach; potem uśmiechnął się do Frydka, pokazując szereg śnieżno-białych zębów, które dziwnie odbijały od czarnych wąsów i brody.

— Dziwi się pan zapewne, że tam ostrożnie gasił tę małą zapalke? — odezwał się przeciagłym akcentem Zachodu. — Gdyby pan widział tyle pożarów preryi, ile ja widziałem, zrozumiałby pan moją ostrożność.

¹⁾ Miękkie kapelusze z szerokimi skrzydłami.

(D. c. n.).



| | | |
|---|--|--|
| □ □ □ □ Piąty rok wydawnictwa. □ □ □ □ | | |
| Przedpłata roczna: w Warszawie 3 rb. z przesyłką poczt. 4 ruble. | „PRAD” Miesięcznik poświęcony zagadnieniom wychowania narodowego oraz przygotowaniu do pracy społecznej. | Adres Redakcyi i Administracyi: WARSZAWA, Warecka 10. |
| wychodzi pod kierunkiem Tadeusza Błażejewicza. | | |
| <p>„PRAD” głosi hasła postępu w wszystkich zaniedbanych dziedzinach życia narodowego; sprawiedliwości w układzie stosunków społecznych i czystości w sprawowaniu obowiązków publicznych.</p> <p>Zamieszcza artykuły wybitnych wychowawców i pracowników na polu społecznym ze szczególnem uwzględnieniem młodych sił publicystycznych.</p> <p>Szeroko omawia żywotne sprawy narodowe.</p> <p>Podkreśla znaczenie religii i etyki w działalności społecznej oraz doniosłości twórczych pozytywnych hasel.</p> <p>Odzwierała myśli i dążenia młodego pokolenia.</p> <p>Informuje o studiach, życiu i próbach pracy społecznej młodzieży, zwłaszcza akademickiej u nas i zagranicą.</p> <p>„PRAD” jest czasopiśmie katolickim i postępowem.</p> | | |
| <p>„Biblioteka Prądu” zawiera nader cenne przyrętki do literatury etycznej i wychowawczej.</p> <p>Nr. 1. E. Wassmann „Trzy odczyty o ewolucyi” c. k. 40</p> <p>Nr. 2. Dr. F. W. Foerster „Studenci wobec katolicyzmu” c. k. 30</p> <p>Oryginalne poglądy znakomitego psychologa na stosunek młodzieży do Kościoła.</p> <p>Nr. 3. Dr. F. W. Foerster „Seksualna etyka i pedagogika” c. rb. 1</p> <p>Wspaniała, jedyna w swoim rodzaju apologia moralności chrześcijańskiej.</p> <p>Nr. 4. Ks. dr. A. Szymanski „Uświadomienie katolickie” c. k. 60</p> <p>Obszerny, systematyczny przewodnik literatury katolickiej.</p> <p>Nr. 5. Dr. P. Kappeler „Więcej radości!” c. k. 40</p> <p>Jedna z najpiękniejszych poledek do życia i czynów. Dziełko to w Niemczech rozszło się w 70,000 egz.</p> <p>Nr. 6. Ks. dr. K. Lutosławski „Skauting jako system wychowania moralnego” . . . c. k. 20</p> <p>Jasne, głębokie ujęcie załad harcerskiej.</p> | | |



MOJE PISEMKO

Tygodnik obrazkowy dla młodszych dzieci.

Pod Redakcją **Maryi Bujno-Arctowej.**

Pogoda, wesołość i zadowolenie panują w tym tylko pokoju dziecięcym, w którym znajdują się roczniki **MOJEGO PISEMKA.**

MOJE PISEMKO jest najtańszym tygodnikiem dla dzieci, kosztuje tylko **50 kop. kwartalnie.**

MOJE PISEMKO posiada jeszcze pewien zapas swoich dawniejszych **ROCZNIKÓW.**

ROCZNIK MOJEGO PISEMKA, ozdobnie opracowany, jest jednym z najmiłszych podarków dla dziatwy.

ROCZNIK MOJEGO PISEMKA jest niewyczerpanym źródłem przyjemności i nie pozwala dziecku nigdy się nudzić.

ROCZNIK MOJEGO PISEMKA zawiera przeszło 400 stron i 150 rysunków i kosztuje tylko za tom w ozdobnej oprawie **rb. 1.50 kop.**

ROCZNIKI MOJEGO PISEMKA z lat ubiegłych nowi prenumeratorzy mogą otrzymywać za **pół ceny**, to jest tom w ozd. opr. po **75 kop.**

MOJE PISEMKO zajęło placówkę ważną w akcji wychowawczej i pozostaje na niej wytrwale przez lat 11.

MOJE PISEMKO kształci najmłodsze pokolenie czytelników w duchu moralnym i narodowym, podając im w swoich numerach treść dobraną umiejętnie i urozmaiconą, zawsze zdrowy i posilny pokarm dla serca i umysłu.

MOJE PISEMKO drukuje ciekawe i pouczające powieści i powiastki, obyczajowe i historyczne.

MOJE PISEMKO podaje w każdym roczniku mnóstwo pięknych wierszyków, komedylek, dyalogów i monologów.

MOJE PISEMKO posiada obfity dział zajęć i rozrywek, robótek i wzorów rysunkowych, łąmigłówek i szarad, zastosowanych do najmłodszego wieku czytelników.

MOJE PISEMKO zamieszcza pogadanki historyczne i życiorysy sławnych Polaków.

MOJE PISEMKO jest najlepszym przyjacielem i powiernikiem młodzieży, z którą Redakcja utrzymuje żywą i serdeczną wymianę myśli.

MOJE PISEMKO powinno znajdować się w każdym domu polskim, gdzie są dzieci.

MOJE PISEMKO jest jedynym pismem polskim, przeznaczonym dla najmłodszych.

MOJE PISEMKO przynosi w każdym numerze szereg pięknych rysunków, przeważnie oryginalnych.

MOJE PISEMKO co tydzień z niecierpliwością jest oczekiwane zarówno przez dziecię, jak i przez starszych, interesujących się pięknym tygodnikiem dla swoich pociech.

WARUNKI PRENUMERATY.

| w Warszawie: | | z przesyłką (pocztą): | |
|-------------------|---------|-----------------------|---------|
| Rocznie . . . | Rb. 2.— | Rocznie . . . | Rb. 3.— |
| Półrocznie . . . | " 1.— | Półrocznie . . . | " 1.50 |
| Kwartalnie . . . | " —.50 | Kwartalnie . . . | " —.75 |
| Miesięcznie . . . | " —.20 | | |

Numery okazowe bezpłatnie.

Adres Redakcji: Ordynacka Nr. 8 i Nowy-Świat Nr. 53.

